

# HARLAN COBEN

**W domu**

Thriller



# 1

Zaginiony od dziesięciu lat chłopak wychodzi na światło dzienne.

Nie jestem histerykiem ani nawet kimś, kogo łatwo ogarnia zdumienie. W swoim czterdziestokilkuletnim życiu sporo widziałem. Wiele razy omal mnie nie zabito i wiele razy zabijałem. Widziałem przejawy bestialstwa, które większość z was uznałaby za trudne lub w ogóle niemożliwe do zrozumienia, choć niektórzy twierdziliby zapewne, że ja też je wykazywałem. Z biegiem lat nauczyłem się panować nad emocjami i, co ważniejsze, nad swoimi reakcjami podczas stresujących, niepewnych sytuacji. Potrafię uderzyć szybko i gwałtownie, lecz nie robię niczego bez namysłu i celu.

Te... nazwijmy je przymiotami... No więc te przymioty wiele razy uratowały życie i mnie, i tym, którzy coś dla mnie znaczą.

Mimo to przyznaję, że kiedy widzę tego chłopaka pierwszy raz – no tak, jest już nastolatkiem – czuję, że przyspiesza mi puls. W uszach dudni krew. Bezwiednie zaciskam pięści.

Minęło dziesięć lat, a teraz dzieli mnie od niego nie więcej niż pięćdziesiąt metrów.

Patrick Moore – tak się nazywa – opiera się o upstrzony graffiti betonowy wspornik przejścia podziemnego. Jest przygarbiony. Niespokojnie strzela wokoło oczami, a w końcu wbija wzrok w popękany chodnik. Ma krótko obcięte włosy, fryzurę, którą nazywaliśmy kiedyś „na rekruta”. W przejściu kręci się także dwóch innych nastolatków. Jeden pali tak zajadle, jakby papieros zrobił mu krzywdę. Drugi jest w nabijanej ćwiekami psiej obroży i siatkowej koszulce, uniformie, który w sposób najbardziej oczywisty z oczywistych zdradza jego aktualną profesję.

Górą pędzą z rykiem niczego nieświadome samochody. Jesteśmy na King's Cross, w dzielnicy, którą w ciągu ostatnich dwudziestu lat „odmłodzono” muzeami, bibliotekami, siedzibą Eurostaru, a nawet tabliczką na Peronie 9¾, skąd Harry Potter odjeżdżał do Hogwartu. Znaczna część tak zwanego niepożądanego elementu uciekła stąd we względnie bezpieczne zacisze transakcji cyberprzestrzennych – mniejszy popyt na ryzykowny sekshandel samochodowy to kolejny, jakże wartościowy, produkt uboczny internetu – lecz wystarczy, dosłownie lub w przenośni, przejść na złą stronę ulicy, oddalając się nieco od nowych błyszczących wieżowców, i można znaleźć miejsca, gdzie brud moralny wciąż kwitnie w skondensowanej formie.

I właśnie tam znalazłem zaginionego chłopaka.

Część mnie – ta gwałtowna, ta, którą trzymam na wodzy – pragnie do niego podbiec i go schwytać. Jeśli to rzeczywiście Patrick, a nie jego sobowtór czy mój błąd, chłopak musi mieć szesnaście lat. I z tej odległości ma.

Dziesięć lat temu – odejmijcie dziesięć od szesnastu, a zobaczycie, jaki był wtedy młody – mieszkał w Alpine, na superbogatym przedmieściu Nowego Jorku, i w dniu porwania bawił się z Rhysem, synem mojej kuzynki.

Stąd mój dylemat.

Jeśli schwytam Patricka już teraz, jeśli po prostu podbiegnę i go złapię, co się stanie z jego towarzyszem dziecięcych zabaw? W zasięgu wzroku mam jednego zaginionego, a przyjechałem uratować dwóch. Co znaczy, że muszę zachować ostrożność. Nie mogę wykonać ani jednego gwałtownego ruchu. Muszę być cierpliwy. Bez względu na to, co stało się przed dziesięciu laty, niezależnie od sposobu, w jaki wynaturzone bestie uprowadziły tego chłopca z bogatej kamiennej rezydencji i zaciągnęły do tego brudnego wychodka pod wiaduktem (nie bardzo wierzę w okrucieństwo losu, ponieważ sprawcą jest zwykle nasz drogi bliźni), teraz martwię się, że wystarczy jeden zły ruch i któryś z chłopców – albo obydwaj – może znowu zniknąć, tym razem na zawsze.

Nie, zaczekam na Rhysa. Zaczekam na Rhysa, a potem złapię ich obu i odwiozę do domu.

Zapewne przeszły wam przez myśl dwa pytania.

Pierwsze: Skąd pewność, że mając ich w polu widzenia, dam radę złapać obydwu naraz? A jeśli wyprano im mózgi i będą stawiali opór? – spytacie. A jeśli porywaczy, czy tych, którzy mają w ręku klucz do wolności chłopców, jest wielu? Jeśli są agresywni i zdeterminowani?

Odpowiem tak: O to się nie martwicie.

Drugie pytanie jest znacznie bardziej palące: A jeśli Rhys się nie pokaże?

Nie jestem zwolennikiem odkładania zmartwień na później, więc opracowuję plan awaryjny, który przewiduje obserwację terenu i dyskretne śledzenie Patricka. Zastanawiam się właśnie, czy plan by wypalił, gdyby wszystko wzięło w łeb.

Ruch się wzmaga. Życie podlega kategoryzacji. Ten uliczny pisuar też. Jedno podziemne przejście obsługuje heteroseksualnych mężczyzn szukających towarzystwa kobiet. W tym ruch jest największy. Pewnie ze względu na staromodne wartości. Możecie gadać sobie o genderach, preferencjach i perwersjach, ale zdecydowaną większość sfrustrowanych seksualnie ludzi wciąż stanowią niezaspokojeni mężczyźni. Stara szkoła. Dziewczęta o martwych oczach stają przy betonowych wspornikach: przejeżdżają samochody, jedne dziewczęta wsiadają i znikają, a ich miejsce zajmują inne. Przypomina to obserwowanie automatu z wodą sodową na stacji benzynowej.

W drugim przejściu widać małe zbiorowisko osób transpłciowych czy transwestytów, przebranych za kobiety mężczyzn w różnych odmianach i stadiach transseksualizmu, a dalej, na samym końcu, tam gdzie stoi Patrick – targowisko młodych gejów.

W stronę Patricka pewnym krokiem zmierza mężczyzna w koszuli koloru dojrzałego melona.

Widząc chłopaka pierwszy raz, zastanawiałem się, co zrobię, jeśli podejdzie do niego jakiś klient. Uznałem, że najlepiej będzie natychmiast zainterweniować. Tak byłoby najbardziej humanitarnie, lecz interweniując, straciłbym z oczu swój nadrzędny cel: uratowanie obu chłopców. Obu, nie tylko Patricka. Uprowadzono ich przed dziesięciu laty,

taka jest prawda. Przez ten czas przeżyli Bóg wie co i chociaż pragnę oszczędzić im kolejnej krzywdy, zdążyłem już zbilansować wszystkie „za” i „przeciw” i podjąłem decyzję. Nie ma sensu dłużej zwlekać, nie w tej sytuacji.

Sękał w tym, że Melon nie jest klientem.

Od razu to widzę. Klienci nie chodzą tak dumnym krokiem. Nie podnoszą tak wysoko głowy. Nie wkładają tak jaskrawych koszul. Mężczyźni zdesperowani na tyle, by przyjść tu w celu zaspokojenia swoich potrzeb, odczuwają wstyd lub strach przed wpadką, a najprawdopodobniej jedno i drugie.

Natomiast Melon porusza się i ma postawę człowieka swobodnego i niebezpiecznego. Każdy odpowiednio wyczulony natychmiast takie rzeczy wyczuwa. Rejestruje je gadzi mózg, który z sobie tylko znanych powodów emituje wtedy ostrzegawczy wewnętrzny trzel. Człowiek współczesny boi się bardziej wstydu niż niebezpieczeństwa, dlatego często ignoruje ów trzel, narażając się na ryzyko.

Melon zerka za siebie. Na scenę wydarzeń wkracza dwóch kolejnych mężczyzn, ubezpieczając go z lewej flanki i prawej. Obaj są potężnie zbudowani, ubrani w bojówki moro i eksponujące błyszczącą klatkę podkoszulki żonobijki. Pracujący w podziemnym przejściu chłopcy – palacz i ten w nabijanej ćwiekami psiej obroży – natychmiast uciekają i Patrick zostaje sam na sam z trzema nowo przybyłymi.

Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Chłopak wciąż ma spuszczonego wzrok; jego na wpół ogolona głowa się błyszczy. Z obecności Melona zdaje sobie sprawę dopiero wtedy, kiedy ten staje tuż przed nim. Podchodzę bliżej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa

Patrick mieszka na ulicy już od lat. Myślę o tym przez chwilę: uprowadzony spod wygodnego, bezpiecznego klosza na amerykańskich przedmieściach i wrzucony w to... Kto wie, co to właściwie jest?

Ale przez ten czas nabył zapewne wiele przydatnych umiejętności. Więc może wyjdzie z tego bez szwanku. Może to tylko pozory i sytuacja nie jest aż tak niebezpieczna. Muszę poczekać i przekonać się.

Melon staje tuż przed nim. Coś mówi. Nie słyszę co. Bez dalszych wstępów zaciska pięść, bierze szybki zamach i jak młotem uderza Patricka w spłot słoneczny.

Chłopak osuwa się na ziemię, z trudem łapiąc oddech.

Ci w bojówkach podchodzą bliżej.

Włączam się do gry.

– Panowie! – wołam.

Na dźwięk mojego głosu Melon i ci w żonobijkach odwracają się na pięcie. Początkowo mają miny neandertalczyków, którzy po raz pierwszy słyszą dziwny hałas. Potem mrużą oczy i otaksowują mnie spojrzeniem. Na ich ustach pojawia się uśmiech. Nie należę do mężczyzn o imponującej posturze. Jestem średniego wzrostu, mam siwiejące już jasne włosy, cerę jasną jak porcelanowa, nabierającą rumieńców na zimnie, i delikatne rysy twarzy, dzięki którym mogę uchodzić – taką przynajmniej mam nadzieję – za dość przystojnego.

Dzisiaj jestem w szytym na miarę jasnoniebieskim garniturze z Savile Row, krawacie od Lilly Pulitzer, butach zrobionych na zamówienie przez najlepszych specjalistów G.J. Cleverleya z Old Bond Street, a w brustaszy mam poszetkę od Hermesa.



Prawdziwy dandys ze mnie, co?

Idąc niespiesznie w ich stronę i żalując, że nie mam parasola i nie mogę kręcić nim dla większego efektu, czuję, że nabierają pewności siebie. I bardzo mi się to podoba. Zazwyczaj noszą pistolet, często nawet dwa, ale Brytyjczycy podchodzą do broni bardzo surowo. Co mnie zupełnie nie martwi. Piękno tego rygorystycznego prawa polega na tym, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, moi przeciwnicy też nie są uzbrojeni. Moje oczy szybko skanują ich ciała w poszukiwaniu ukrytego ryszunka – wszyscy trzej lubują się w niezwykle obcisłych strojach, bardziej stosownych do popisywania się na wybiegu niż kamuflowania.

Mogą mieć noże – i prawdopodobnie mają – ale nie, na pewno nie mają pistoletów czy rewolwerów.

Nożami się nie przejmuję.

Patrick – jeśli to on – wciąż leży na ziemi, dysząc jak wyrzucona na brzeg ryba. Przystaję, szeroko rozkładam ręce i posyłam im swój najbardziej ujmujący uśmiech. Gapią się na mnie jak na eksponat muzealny, który nie wiadomo do czego służy.

Melon robi krok w moją stronę.

– A ty, kurwa, kto?

Nie przestaję się uśmiechać.

– Panowie – mówię – lepiej odejdźcie.

Patrzy na Żonobijcę, który stoi po mojej prawej stronie. Potem na tego po lewej. Ja też na nich patrzę, po czym przenoszę wzrok z powrotem na Melona.

Puszczam do niego oko, a on gwałtownie unosi brwi.

– Pochlastajmy go – proponuje Żonobijca z prawej. – Potnijmy na kawałeczki.



Udaję przestraszonego i odwracam się w jego stronę.

– Ojej, nie widziałem pana!

– Że co?

– W tym kamuflażu. Całkowicie wtapia się pan w tło, naprawdę. Tak przy okazji, bardzo panu do twarzy w tym stroju.

– Taki z ciebie mądrała?

– Owszem, pod wieloma względami, nie przeczę.

Uśmiechy poszerzają się, łącznie z moim.

Mężczyźni ruszają w moją stronę. Mógłbym się jakoś z tego wykręcić, zaproponować im pieniądze, żeby dali mi spokój, lecz nie sądzę, żebym coś tym ugrał, a to z trzech powodów. Po pierwsze, na pewno zechcą odebrać mi wszystkie pieniądze, jakie przy sobie mam, pieniądze, zegarek i całą resztę. Propozycja przekupstwa by nie poskutkowała. Po drugie, wyczuli już krew – łatwą i słabą – i spodobał im się ten zapach. Wreszcie, po trzecie i najważniejsze: ja też lubię ten zapach.

Zbyt dawno go nie wąchałem.

Próbuję się nie uśmiechać, gdy ruszają. Melon wyjmuję duży nóż myśliwski. Czym sprawia mi przyjemność. Nie mam skrupułów moralnych przed unieszkodliwieniem kogoś, kogo uważam za złego. Jednak tych, którzy potrzebowaliby jakichś argumentów, by móc określić mnie mianem człowieka „miłego”, z pewnością ucieszy fakt, że to ci trzej jako pierwsi sięgnęli po broń, dzięki czemu mogę z czystym sumieniem twierdzić, że działałem w samoobronie.

Mimo to daję im ostatnią szansę.

Patrzę Melonowi prosto w oczy i powtarzam:

– Lepiej odejdźcie.

Ci w bojuwkach i żonobijkach wybuchają śmiechem, lecz uśmiech Melona zaczyna blednąć. Facet już wie. Widzę, że wie. Patrzy na mnie i wie.

Reszta dzieje się błyskawicznie.

Żonobijca numer jeden nadchodzi z prawej, naruszając moją prywatną przestrzeń. Jest wielkim facetem. Na wysokości wzroku mam jego szeroką, wydepilowaną klatkę piersiową. Uśmiecha się do mnie jak do smakowitego kęsa, który zamierza połknąć w całości.

Nie ma powodu opóźniać nieuchronnego.

Podrzynam mu gardło ukrytą w dłoni brzytwą.

Niemal idealnym łukiem tryska na mnie krew. Cholera. Będę musiał znowu wpaść na Savile Row.

– Terence!

To Żonobijca numer dwa. Dopiero teraz dostrzegam podobieństwo i płynnie robiąc zwrot w jego stronę, zastanawiam się, czy nie są braćmi. Bandzior jest wstrząśnięty, oszołomiony żalem i smutkiem, dlatego bez trudu go eliminuję, choć nie sądzę, żebym miał kłopoty, nawet gdyby był lepiej przygotowany.

Brzytwa – tak, dobrze nią władam.

Żonobijca numer dwa ginie w ten sam sposób, co nasz drogi Terence, możliwe, że jego brat.

Na placu boju zostaje Melon, ich ukochany przywódca, który dochrapał się tej rangi najprawdopodobniej dzięki temu, że jest bardziej brutalny i przebiegły niż jego polegli towarzysze. Zaczyna wykonywać swój pierwszy ruch w chwili, gdy jestem zajęty Żonobijcą numer dwa – bardzo mądre pociągnięcie. Kątem oka widzę błysk opadającej na mnie klingi.

A to z kolei błąd.

Nie uderza się z góry. Taki cios łatwo jest odparować. Przeciwnik może zyskać na czasie, uchylając się lub blokując cios przedramieniem. Tych, którzy zamierzają strzelać do kogoś z pistoletu, uczy się celowania w środek masy ciała, żeby trafili nawet wtedy, kiedy zadrży im ręka. Zawsze trzeba brać poprawkę na ewentualny błąd. Podobnie z nożem. Trzeba maksymalnie skrócić długość pchnięcia. Celować w środek masy ciała, żeby zranić przeciwnika nawet wtedy, kiedy się poruszy.

Melon o tym zapomniał.

Robię unik, kontruję prawym przedramieniem – opis: patrz wyżej – obracam się na ugiętych kolanach i tnę go brzytwą przez brzuch. Nie czekam na jego reakcję. Wyprostowuję się i dobijam go w ten sam sposób co tamtych dwóch.

Tak jak mówiłem, trwa to zaledwie kilka sekund.

Popękany chodnik jest zapaskudzony na karmazynowo, z każdą chwilą coraz bardziej zapaprany. Delektuję się podnieceniem, lecz daję sobie na to tylko sekundę, nie więcej. Też byście się delektowali, gdybyście nie udawali, że was to oburza.

Odwracam się do Patricka.

Lecz Patricka nie ma.

Patrzę w lewo, patrzę w prawo. Jest, ale już znika mi z oczu. Biegnę za nim, bardzo szybko, jednak zdaję sobie sprawę, że to bezsensowne. Chłopak pędzi w kierunku stacji King's Cross, jednej z najruchliwszych w Londynie. Będzie tam – w publicznym miejscu – zanim zdążę go dogonić. Jestem zbryzgany krwią. Owszem, mogę być dobry w tym,

co robię, ale chociaż King's Cross jest stacją, z której Harry Potter odjeżdżał do Hogwartu, to ja nie dysponuję peleryną niewidką.

Zatrzymuję się, zerkam za siebie, oceniam sytuację, wyciągam wnioski.

Skrewiłem.

Pora zniknąć. Nie martwię się tym, że mogły mnie nagrać kamery monitoringu miejskiego. Niepożądany element nie bez powodu wybiera miejsca takie jak to. Leżące z dala od wścibskich oczu, nawet tych cyfrowych i elektronicznych.

Ale tak, nawaliłem. Po tylu latach, tylu bezowocnych poszukiwaniach natrafiam wreszcie na dobry trop i go gubię...

Potrzebuję pomocy.

Szybko odchodzę i naciskam jedynkę na liście numerów szybkiego wybierania w telefonie. Pierwszy raz od roku.

Odbiera po trzecim sygnale.

– Halo?

Wziąłem się w garść, lecz gdy słyszę jego głos, przez chwilę kręci mi się w głowie. Mam anonimowy numer, więc nie wie, kto dzwoni.

– Czyżbyś chciał powiedzieć „Wysłów się”? – pytam.

Słyszę, że go zatyka.

– Win? Boże, gdzieś ty się...

– Widziałem go.

– Kogo?

– Pomyśl.

Króciutka pauza.

– Chwila, widziałeś obu?

– Tylko Patricka.

– Rany boskie.

Unoszę brwi. Rany boskie?

– Myron?

– Tak?

– Złap najbliższy samolot do Londynu. Musisz mi pomóc.

## 2

Dwie minuty przed telefonem od Wina Myron Bolitar leżał nago na łóżku u boku oszalałamijąco pięknej kobiety. Ciężko dysząc, zatraceni w rozkoszy, którą daje... hm, tylko rozkosz, oboje patrzyli na ozdobne sztukaterie na suficie.

- Rany boskie – sapnęła Terese.
- Prawda?
- To było...
- Prawda?

Myron celował w postkoitalnych rozmowach.

Terese spuściła nogi, wstała i podeszła do okna. Myron ją obserwował. Lubił, kiedy chodziła nago, bo poruszała się wtedy jak pewna siebie pantera, zwinnie i sprężysto. Apartament górował nad zachodnim obrzeżem Central Parku. A ona patrzyła na staw i Bow Bridge. Jeśli kiedykolwiek widzieliście film, na którym dwoje zakochanych biegnie przez żelazny mostek w Nowym Jorku, to właśnie Bow Bridge.

- Boże, co za widok – powiedziała.
- Wyjąłś mi to z ust.

- Gapisz się na mój tyłek?
- Nie. Ja go obserwuję. Ochraniam.
- Jak strażnik?
- Odwracając wzrok, zachowałbym się nieprofesjonalnie.
- Hm... tego byśmy chyba nie chcieli.
- Dziękuję.
- Myron? – rzuciła, wciąż stojąc plecami do niego.
- Tak, kochanie?
- Jestem szczęśliwa.
- Ja też.
- To przerażające.
- Masz rację – zgodził się z nią Myron. – Budzi grozę.

Lepiej wracaj do łóżka.

- Naprawdę?
- Tak.
- Nie rzucaj słów na wiatr.
- Ależ skąd – powiedział i po chwili dodał: – Czy można

gdzieś dostać ostrygi i witaminę E?

Odwróciła się, posłała mu swój najbardziej czarujący uśmiech i – łups! – jego serce rozpadło się na milion kawałków. Terese Collins wróciła. Po tylu latach separacji, bólu i huśtawki emocjonalnej mieli się w końcu pobrać. Niesamowite. Cudowne. Kruche i niepewne.

I wtedy zadzwonił telefon.

Oboje znieruchomieli, jakby się tego spodziewali. Kiedy wszystko idzie aż za dobrze, każdy wstrzymuje oddech, żeby nagle nie przestało. Każdy chce, żeby trwało i trwało, próbuje nawet zahamować upływ czasu, aby nie tracić złudzeń i jak najdłużej zostać pod swoim małym bezpiecznym kloszem.



Cóż, wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. Zaczynały się schody.

Myron zerknął na ekran komórki, lecz numer się nie wyświetlił. Spotykali się w Dakota Building na Manhattanie. Win zniknął rok temu, ale wcześniej przepisał na niego swój apartament. Większość tego czasu Myron spędził w swoim rodzinnym domu pod Livingston w New Jersey, gdzie próbował wychowywać nastoletniego bratanka, Mickeya, lecz po powrocie brata oddał im dom i przeniósł się do Nowego Jorku.

Drugi dzwonek. Terese odwróciła głowę tak gwałtownie, jakby ktoś ją spoliczkował. Myron zobaczył bliznę po kuli na jej szyi i poczuł, jak wzbiera w nim stare uczucie. Tak bardzo pragnął jej strzec.

Chciał zaczekać, aż włączy się poczta głosowa, ale Terese zamknęła oczy i lekko skinęła głową, tylko raz. Oboje wiedzieli, że zwłoka opóźni jedynie to, co nieuniknione.

Odebrał po trzecim dzwonku.

– Halo?

Znajome wahanie, szum eteru i głos, którego od tak dawna nie słyszał.

– Czyżbyś chciał powiedzieć „Wysłów się”?

Myron próbował nad sobą zapanować, mimo to cicho sapnął.

– Win? Boże, gdzieś ty się...

– Widziałem go.

– Kogo?

– Pomyśl.

Nie, Myron nie śmiał powiedzieć tego na głos.

– Chwila, widziałeś obu?

- Tylko Patricka.
- Rany boskie.
- Myron?
- Tak?
- Złap najbliższy samolot do Londynu. Musisz mi pomóc.

Popatrzył na Terese. Zgliszcza – znowu miała to w oczach. Były tam zawsze, od lat, odkąd tylko uciekli, lecz nie widział ich od jej powrotu. Dopiero teraz je ujrzał. Wyciągnął do niej rękę. Ujęła jego dłoń.

– Życie mi się trochę skomplikowało... – powiedział do telefonu.

– Terese wróciła – rzucił Win.

To nie było pytanie. Już wiedział.

– Tak.

– I w końcu się pobieracie.

To też nie było pytanie.

– Tak.

– Kupiłeś już pierścionek?

– Tak.

– U Normana przy Czterdziestej Siódmej?

– Oczywiście.

– Więcej niż dwa karaty?

– Win...

– Cieszę się, naprawdę.

– Dziękuję.

– Ale nie weźmiesz ślubu bez drużby.

– Poprosiłem już brata.

– Ustąpi mi miejsca. Samolot odlatuje z Teterboro.

Samochód już czeka.

Win rozłączył się.

Terese spojrzała na Myrona.

– Musisz jechać.

Nie wiedział, czy było to pytanie, czy stwierdzenie.

– Win nie prosi, jeśli nie musi.

– Fakt – przyznała. – Nie prosi.

– To nie potrwa długo. Wrócę i pobierzemy się. Słowo.

Usiadła na łóżku.

– Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

– Co słyszałaś?

– Niewiele, strzępki – odparła. I spytała: – Pierścionek ma więcej niż dwa karaty?

– Tak.

– Dobrze. Więc powiedz, co się dzieje.

– Pamiętasz to porwanie w Alpine dziesięć lat temu?

Kiwnęła głową.

– Oczywiście. Relacjonowaliśmy to.

Przez wiele lat prowadziła główne wydanie dziennika na popularnym telewizyjnym kanale informacyjnym.

– Jeden z tych uprowadzonych chłopców, Rhys Baldwin, jest krewnym Wina.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

Myron wzruszył ramionami.

– Niewiele miałem z tym wspólnego. Zanim zajęliśmy się tą sprawą, zdążyła już przyschnąć. Więc odłożyłem ją na później.

– Ty tak, ale nie Win.

– On nigdy nie odkłada niczego na później.

- Wpadł na nowy trop?
- Nie tylko. Mówi, że widział Patricka Moore’a.
- Więc dlaczego nie zawiadomił policji?
- Nie wiem.
- I nie spytałeś.
- Wierzę mu. Umie oceniać sytuację.
- Potrzebuje twojej pomocy.
- Tak.

Terese skinęła głową.

- To lepiej się spakuj.
- Poradzisz sobie?
- Win ma rację.
- W czym?
- Nie możemy wziąć ślubu bez drużby – odparła, wstając.

. . .

Win przysłał czarną limuzynę. Czekala w łukowatym przejściu Dakota Building. Podrzuciła go na lotnisko Teterboro w północnym New Jersey, pół godziny jazdy od Manhattanu. Na drodze do kołowania stał już prywatny boeing business jet Wina. Nie było ochrony, odprawy ani biletów. Samochód wysadził go przy schodach. Powitała go stewardesa, młoda urocza Azjatka w dopasowanym staromodnym uniformie, do kompletu z bufiastą bluzką i toczkiem.

- Miło pana widzieć, panie Bolitar.
- Mnie również, Mee.

Na wypadek gdybyście nie dostali okólnika: Win jest bogaty.